opłacono ryczałtem

nasz wyraz

MIESIĘCZNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY MŁODYCH

J. A. FRASIK: Ranki. *ZBIGNIEW PRONASZKO:* Niedziela. *H. WIELOWIEYSKA:* Kawiarnia *Z. FIJAS:* Notatki prozą. *K. FILIPOWICZ:* Dwa fragmenty. *W. BODNICKI:* Wielki Bankrut. *L. PIWOWAR:* Waliszewski. *H. KRZETUSKA:* Parę słów o wystawie Leona Wyczółkowskiego. **Teatr. Kronika. Przegląd prasy. Wesoły Wyraz.** Reprodukcje: *K. LARISCHA, Z. PRONASZKI, Z. WALISZEWSKIEGO, L. WYCZÓŁKOWSKIEGO.*

ROK IV. NR. 3-4.

KRAKÓW

25 gr.

ROK IV. CZERWIEC — LIPIEC 1937 NR 3 — 4

NASZ WYRAZ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-ARTYSTYCZNY MŁODYCH.

WŁADYSŁAW BODNICKI

WIELKI BANKRUT

W 100-lecie śmierci Leopardiego 14 czerwiec 1837—1937

Z natury został Leopardi skazany na pierwsze bankructwo — wiary w swe ludzkie szczęście wypływające z miłości odwzajemnionej. Biedny Giacomo nie posiadał warunków do tego szczęścia. Ciało jego było rachitycznie osłabione, skłonne do chorób, w piersi tkwił zaród śmierci. A do tego tak brzydki, że zdaje sobie sprawę, że nie zdoła wzbudzić miłości w sercu kobiety. O! bo Leopardi odznacza się bardzo trzeźwą samowiedzą, nie jest ślepy na własne kalectwo, nie łudzi się nadzieją cudownego uzdrowienia.

Dałoby się wykreślić znaczne podobieństwo między Sokratesem a Leopardim. Zdaje się, że on sam odczuwał to, widząc w nim „prawdziwego socium doloris" i pisząc o nim w „Pamięci godnych zdaniach Filipa Ottonieriego": „Sokrates posiadający duszę szlachetną i bez wątpienia zdolną do kochania, ale skrzywdzony nad miarę nieskładnymi kształtami ciała, prawdopodobnie zrozpaczył już w młodości, by mógł być kochany inną miłością, prócz miłością przyjaźni". W dalszym ciągu tych zdań mówi o koniecznie wypływającej stąd ironii i złośliwości. „Lecz podobnie jak ta ironia u filozofa greckiego nie była wzgardliwą i cierpką, ale pobłażliwą i słodką, tak i Leopardi wprzód pasuje się z sobą, zanim zacznie urągać, wprzód usprawiedliwia się nim rzuci oskarżenie" [1]).

Ale bo też poeta ma jeszcze inne miraże i cele, które stopniowo go rozczarują. Leopardi wierzy. Wiarę tę wyniósł z religijnego wychowania w domu, „jako romantyk i wierny uczeń Chateaubrianda wielbi on chrystianizm dlatego, że piękny" [2]). I jeszcze z jednego powodu wierzy, — bo jako nieszczęśliwy, spodziewa się nagrody w życiu wiecznym. Później jednak, uwielbienie swoje przeniósł na Byrona i Woltera „ten sztandar myślicieli, tego człowieka mądrego, nieprzyjaciela przesądów". Stopniowo stwarza sobie własną filozofię, w której żadna postać wiary nie miała miejsca obok przekonania o powszechnym bezrządzie. Po raz drugi Leopardi bankrutuje. Przyjaźń z Giordanim wskazała Leopardiemu nowy cel — odrodzenie Włoch. Jego twórczość narodowa przypada na czas, kiedy „Alfieri i Ugo Foscolo, podnieśli się przeciw niesprawiedliwości i tyranii, były to czasy po kongresie wiedeńskim, kiedy Włochy wedle słów Metternicha, stały się „pojęciem geograficznym", Wiktor Emanuel I wszedł do Turynu, Ferdynand IV do Neapolu, Pius VII do Rzymu, książęta austriaccy zasiedli we Florencji i Modenie; a Lombardia i Wenecja stały się prowincjami austriackimi" [3]). Wprawdzie Leopardi nie był działaczem politycznym i trzymał się z dala od ruchów i spisków, ale trapiło go srodze położenie kraju. Wraz z całą ojczyzną pamiętał o wspaniałej przeszłości. Więc w gorących strofach wzywał rodaków do broni i ledwie dwudziestoletni młodzian wzbudzał nimi zapał. Szydził okrutnie z żołnierzy włoskich wysługujących się obcym rządom, Ale nadzieje zawiodły, rzeczywistości nie można było zmienić nagle. Giordani musi się tułać, uciekać do Genui i Genewy, pewien czas przepędza w więzieniu a Leopardi — bankrutuje po raz trzeci!

Przykłada jeszcze wielkie nadzieje do swych „Dziełek moralnych" lecz równocześnie z nimi wychodzą „Narzeczeni" Manzoniego i wzbudzają taki entuzjazm, że nie staje go już na zainteresowanie się twierdzeniami Leopardiego, druzgocącymi wszelkie złudzenia życia i jego wartość. To jest czwarte i ostatnie bankructwo Leopardiego.

Pozostaje mu już tylko jedno pragnienie, które go nie zawiedzie — pragnienie śmierci. Dał mu tak widoczny wyraz, w swych pismach, od pierwszego poematu „Śmierć", aż do wiersza „Miłość i śmierć", że Musset nazwał go „kochankiem śmierci".

---

1) Cezary Jellenta: Leopardi.

2) Edward Porębowicz: Wstęp do wybory pism wierszem i prozą J. Leopardiego.

3) Edward Porębowicz: Wstęp do wyboru pism wierszem i prozą J. Leopardiego.

„Gdyby mi dano do wyboru z jednej strony triumf i chwałę Cezara albo Aleksandra, wolne od wszelkiej skazy, a z drugiej pewność, że dziś jeszcze zamknę powieki, odrzekłbym: chcę umrzeć dzisiaj — i ani chwili namysłu nie żądałbym“.

Pożądał jej tak, bo uważał, że:

„Śmierć nie jest bólem, bo ból uchodzi przed skonaniem, jest raczej rozkoszą jak każde omdlenie zmysłów“[1])

„Rozmowa Plotyna z Porfiryuszem“ rozbierająca sprawę samobójstwa w tym sensie, że jest to zdrowy popęd, tak naturalny jak w pewnych chwilach instynkt samozachowawczy, wyjaśnia tajemnicę trwania samego Leopardiego. Porfiryusz, gdy obalił wszystkie argumenty przyjaciela, przeciwko samobójstwu, nie odbiera sobie życia na prośbę tegoż:

„Otóż ja cię proszę gorąco Profiryuszu, na pamięć lat, któreśmy w przyjaźni przetrwali, porzuć zamiar swój, nie rań smutkiem wiernych, kochających cię przyjaciół i mnie, któremu jesteś osobą najmilszą, towarzyszem najsłodszym. Pomóż nam raczej znosić życie, miast nas tak, zapominać i porzucać. Żyjmy i pocieszajmy się wzajem... a kiedy zbliży się śmierć, żalu nie doznamy, w ostatniej chwili pocieszą nas przyjaciele i towarzysze i rozweseli nas myśl, że gdy się zatracimy oni nas zapamiętają jeszcze i jeszcze kochać będą“.

Celowo zacząłem od człowieka, przechodząc do twórczości, gdyż współczesnym, Leopardi człowiek jest bezwzględnie bliższy od Leopardiego twórcy. Ma on to, czego domaga się od artysty Ferdynand Divoire: „w dekoracji jego odczuwamy męczeństwo“.

Twórczość zaczyna od krytyki filologicznej ofiarowując ojcu, jako 16-letni chłopiec nowe grecko-łacińskie wydanie „Życia Plotyna“ Porfiryusza. Potem drukuje fragmenty przekładów Odyssei, Eneidy, Batrachomiomachii, oraz „Szkic przesądów ludowych starożytności“. Pierwszym wierszem poemat „Śmierć“ po nim następują elegie i ody. Przychodzi rok 1819, o którym mówi sam Leopardi, że zerwawszy oczy, zmuszony był przepędzić cały rok bez książek i naturalną koleją rzeczy zwrócił się do dociekań filozoficznych. Wtedy to, zdaje się, poznał nudę, o której tak pisze:

„Nietrafnie się powiada, że nuda jest złem powszechnym. Powszechnym jest próżnowanie lub otrząsanie się z zajęć, nie nuda. Nuda ogarnąć zdoła tych jedynie, których umysł nie jest pospolity. Im potężniejszy w kim umysł, tym nuda czystsza, boleśniejsza, straszliwsza. Większa część ludzi znajduje dostateczne zajęcie w czymkolwiek, dostateczną uciechę w zajęciu błahym, a choć nie są zupełnie zajęci, nie sprawia im to wielkiej męki. Stąd to pochodzi, że tak bardzo nuda ludzi uczuciowych staje się niepojętą, dziwną i śmieszną drugim, kiedy mówią o niej i skarżą się na nią tak boleśnie, jakby na jakie ciężkie a nieuniknione nieszczęście. Nuda jest pod pewnym względem najwznioślejszym z uczuć ludzkich. Nie przeto, abym sądził, że z rozbioru tego uczucia wynikają następstwa, jak twierdzą niektórzy filozofowie, podobnego rodzaju; niemniej jednak niemożność zaspokojenia się żadną ziemską rzeczą, ani nawet, światem całym; rozważenie nieocenionych obszarów przestrzeni, liczby i cudownej masy światów i znalezienie, że to wszystko jest małe i bardzo małe dla zapełnienia naszego umysłu, wyobrażanie sobie liczby światów nieskończoną, wszechświata bezgranicznym i uczucie, że duch i pragnienie nasze zawsze jeszcze większe są od wszechświata; wieczne oskarżanie wszechrzeczy o niedostatki i nicość, ustawiczne uczuwanie braku, próżni a więc nudy, zda mi się poważniejszym znakiem wielkości i szlachectwa, niż się między ludźmi powszednimi spostrzega. Dlatego to mało znają nudę ludzie niskiej inteligencji, jeszcze mniej znają zwierzęta“[2])

GIACOMO LEOPARDI

Otchłań

(*L'infinito*)

Zawsze mi było drogie to samotne wzgórze,
Ten dziki krzew jak gdyby dla mnie posadzony,
Bo wolne horyzonty kryje przed spojrzeniem.
Gdy siedzę w zapatrzeniu, wtedy niezmierzony
Krąg przestrzeni, zda się, dostrzegam i słyszę
Spokój nadludzki i najotchłanniejszą ciszę.
I gdy wiatr muśnie zioła, ja przy jego wtórze
Porównuję szept senny z bezdennym milczeniem:
Są w nim zmarłe epoki i wieczyste życie
I współczesna mi chwila, a w niej dzień powszedni
I sen o Niej. Więc myśl ma tonie w tej bezedni,
Ginie, lecz słodkie jest na morzu tym rozbicie.
(1819)

Tłum. Zdzisław Kempf.

GIACOMO LEOPARDI

Do siebie samego

(*A se stesso*)

Usnę nareszcie na zawsze,
Znużone serce moje! Straciłem ostatnią ułudę,
W której wieczystość wierzyłem. Straciłem. Wiem:
W obojgu nas w drogie złudzenia
Nie tylko ufność wygasła, wygasło tych złudzeń pragnienie!
Spocznij na wieki! Tyś biło zu dużo,
Jednej myśli nie warta twa męka,
Ziemia niegodna westchnienia,
Życie — to gorycz i nuda,
Nic zresztą: świat jedną błotną kałużą.
Ucisz się teraz. Rozpaczasz raz ostatni.
Los ludzki rodzaj obdarzył
Jedynym darem: śmiercią.
Znajdź wreszcie siłę na wzgardę
Dla siebie, natury i tej mocy haniebnej,
Której rozkaz potężny świat wiedzie ku otchłani,
A na imię jej — nieskończona nicość wszechrzeczy.
(1833)

Tłum. Zdzisław Kempf.

---

[1]) Leopardi: „Fr. Ruysch i jego Mumie“.
[2]) Leopardi: Myśli LXVIII.

Już przed wydaniem swych „Dziełek moralnych“ zerwał z poezją, „zdawało mu się, że przyszłość literatury włoskiej na silnych oprzeć się powinna podstawach, na surowych studiach filozoficznych“. Wprawdzie wiersze jego spełniają te postulaty: są pisane raczej językiem nauki niż uczucia, trzymają się jeszcze form klasycznych, przepojone są myślą filozoficzną, jednak widocznie wydawały się jeszcze za płoche Leopardiemu, który orzekł, że „proza trudniejszą jest od poezji, bo pierwsza jest jak kobieta naga, druga jak przystrojona“.

„Dziełka moralne“, którym dał formę Lucianowych dialogów, pisanych stylem szeroko-okresowym, mającym posmak pedantyzmu Cycerona, są dla dzisiejszego czytelnika, któremu coraz bardziej brakuje wykształcenia klasycznego, lekturą za poważną. Wymagają zmysłu do trudnego artyzmu, zdolności rozumowania. Z całej spuścizny Leopardiego, okazały się najbardziej współczesnymi, mogącymi jeszcze dziś ciekawić i zdumiewać jego „Myśli“. W nich powiedział między innymi:

„Smutek kiedy jest udany, na chwilę może się podobać — zwłaszcza kobietom — lecz od prawdziwego uciekają wszyscy, a w społeczeństwie ludzkim podoba się i znajduje popyt przeważnie wesołość,“.

Zdanie to da się zastosować do jego twórczości, która jest za subtelną a nadewszystko za posępną, ażeby ogół mógł w niej zasmakować. To szczyt — wprawdzie — zwątpienia z którego jednak rozpościera się widok na dalekie horyzonty i oszołamia czystość i szczerość uczucia.

LECH PIWOWAR

WALISZEWSKI

Wszyscy, którzy wiedzieli kim Waliszewski był, zrozumieli od razu, czytając w prasie o Jego śmierci, to prawdziwe uczucie straty, jaką w tej śmierci poniosło współczesne malarstwo polskie. A kiedy teraz na Jego pośmiertnej wystawie zrozumie się kim On mógł być, nie znajdzie się żadnej rady na uczucie — poprostu — klęski.

Ta klęska, jak dla mnie, nie malarza, ale kochającego to właśnie malarstwo, którego doskonałości przedstawiał Waliszewski, polega na tym, że może jak niewielu z Jego najbliższych kolegów, miał Waliszewski w sobie jakiś rozmach i odwagę wybiegania często po za tak zw. temat „malarski“, brania w swą sztukę spraw powstałych w wyobraźni poety, pisarza, rzeczy ryzykownych dla malarza o małym temperamencie malarskim, i robienia z tego cudów koloru i rysunku. A to nawiązywanie najlepiej odczutych korespondencyj twórczych z dziełami innych sztuk, znanych już ludziom skądinąd, mogło mu wreszcie dać możność zniewolenia do dzisiejszej sztuki malarskiej ludzi obcych, przychodzących od innych, własnych artystycznych spraw i mających pewną trudność w wchodzeniu w rdzeń zagadnień ściśle malarskich. Tę trudność obrazy Waliszewskiego pokonują od razu. Są niebywale czytelne, jasne, oczywiste, pociągające. Chwytają i bawią już nie tylko oko normalnego widza nastawione z góry na jakieś żmudne doszukiwania się „sensu“ i „prawdy“. Te obrazy budzą najbardziej liryczne, najprawdziwiej poetyckie struny wzruszeń, pozwalają snuć sobie preteksty do przeżyć już nie tylko czysto malarskich Wiele obrazów Waliszewskiego to jakieś fantastyczne opowieści, możnaby do nich pisać poematy i recytować je przy patrzeniu. Bardzo silnie kojarzy mi się Jego twórczość z nową poezją francuską.

I to jest właśnie to, co Waliszewskiego odróżnia nie tylko wśród jego kolegów malarzy, ale wogóle wśród dzisiejszych artystów polskich. Ta fantastyczna bujność wyobraźni. I dlatego Jego śmierć budzi uczucie klęski.



Z. WALISZEWSKI Don Kichot

Bo wyobraźnia nie jest wcale rzeczą pospolitą wśród ludzi tworzących tak zw. dzieła sztuki. A zwłaszcza dziś, gdy obserwujemy, zrozumiałe zresztą i z ogólnego punktu widzenia korzystne cofanie się artystów w ramy wzruszeń profesjonalnych, gdy ustala się integralne charaktery „wizyj malarskich“, widzeń poetyckich“, to wyobraźnia Waliszewskiego, który

z kolosalną łatwością przyswajał sobie wszystkie bogactwa wzruszeń, nie tylko specjalnie malarskich, dzisiaj taka wyobraźnia zachowująca przy tym czystość i szlachetność swojej właściwej sztuki nie jest sprawą, od której możnaby odejść nieporuszonym.

Artysta o takiej prawdziwej wyobraźni może i umie korzystać z wszystkiego co widzi, co słyszy, co czyta. Wydaje mi się, że np. większość naszych pisarzy zupełnie nie korzysta z „lektury" współczesnych dzieł malarskich. Wytworzyły się jakieś osobne tory, którymi prowadzą się rozdzielone prace dzisiejszych naszych artystów. Utwory wyobraźni malarzy nie wpływają zabarwiająco na wyobraźnie pisarzy, którzy nie usiłują jakoś reagować na zagadnienia



Z. WALISZEWSKI Dama

sztuki malarskiej. Opóźnienia w rozwoju i dojrzewaniu własnych spraw artystycznych literatury także i w tej smutnej niechęci mają swe korzenie. O wiele lepiej pod tym względem dzieje się z malarzami. Większość malarzy, ci przynajmniej, którzy dziś stanowią jakąś autentyczną wartość artystyczną, ma zupełnie poważny wgląd w sprawy dobrej literatury. Waliszewski, który wiele czytał, swoje wizje malarskie kąpał we wzruszeniach najbardziej poetyckich, szczerych, złotopoetyckich. Pamiętam rozmowy z nim o poezji, i kiedy dziś czytam katalog Jego wystawy, tytuł obrazu: „Pejzaż rozległy", brzmi mi jak z wiersza Przybosia.

Mając tak strzeliście rozgałęziającą się wyobraźnię, bywał Waliszewski swietnym, twórczym pracownikiem w tych także działach sztuki, które z malarstwem, Jego główną i największą namiętnością, muszą się wiązać najczęściej. To przede wszystkim teatr. Każdy, kto kocha teatr, teatr prawdziwy, artystyczny, powie sobie, patrząc na kompozycje figuralne i kostiumowe Waliszewskiego: jakimż świetnym dekoratorem byłby ten malarz! No, nie był. Tak się składało, że nigdy nie wyzyskano szerzej i trwalej jego wspaniałych możliwości. Zetknął się kiedyś z Teatrem Miejskim w Krakowie, ale — nie utrzymał się tam, i — jak powiadają przyjaciele — było to dla niego przykre rozczarowanie. Później, zrośnięty przecież z ruchem futurystycznym, on, który malował okładki do książek poetów futurystycznych (np. do „Słowa o Jakubie Szeli" Jasieńskiego), projektował śliczne kostiumy i dekoracje do sztuki Stanisława Młodożeńca p. t. „Herod", granej niedawno w Warszawie. Współpracował także z krakowskim Teatrem eksperymentalnym Cricot, gdzie był znakomitym współtwórcą przedstawienia „La serva padrone" Pergolese'go. Kostiumy do tego antraktu muzycznego pomyślał — ba, i dopilnowywał pedantycznie, żeby je wykonano tak jak chciał — tak zachwycająco kolorowe i tak wdzięcznie wesołe, a przede wszystkim tak teatralnie korzystne i „grające", że pasja chwyta jak wysoko mógł Waliszewski błysnąć jako malarz teatralny, i że tak nie dano mu błysnąć!

Co mi się wiąże najkonsekwentniej z potęgą wyobraźni Waliszewskiego, to Jego humor. Cały cykl o Don Kichocie, wielka ilość kompozycyj (te Uczty, ten Napoleon wśród swych generałów!) jest owiana świeżym, mocnym wiatrem najprzedniejszej wesołości. Wielki zmysł własnego, osobnego wyobrażania sobie świata, tworzenia go z wyobrażeń powstających swobodnie, naturalnie, z wyobrażeń, które tyleż mają w sobie mądrej pogody co i zuchowatego kpiarstwa, oto, co przemawia z lekkiego, fantazyjnego rysunku Waliszewskiego i zielonosłonecznej palety Jego kolorów. A kto go znał z bliska, w Jego życiu które nie dawało powodów do zbyt łatwych radości, ten widział jak humor artysty przyjaźnił się z humorem, dobrym, młodym humorem człowieka. Przecież temu człowiekowi w rozkwicie męskiego wieku amputowano obie nogi! Lecz sztuka pozostała nietknięta chorobą. Siła wyobraźni nie pozwoliła na to.

Cóż dzisiaj trzeba powiedzieć, gdy oto mamy już wystawę pośmiertną? Że została złamana ta siła talentu malarskiego, wyrastającego z dna najlepszych poszukiwań i osiągnięć teraźniejszości, siła twórcza mająca w sobie błyski autentycznej wielkości, która mogła wreszcie w sposób bezapelacyjny narzucić wszystkim takie rozwiązania dzisiejszych zagadnień malarstwa, jakie niesie w sobie ta fala artystów, która, jedyna, reprezentuje w Polsce Francję i Europę: wszyscy przyjaciele Waliszewskiego.

ZBIGNIEW PRONASZKO

Niedziela

Nuda stuka w chodnik obcasami —
Od rana dewotki — wieczorem pijaki —
Drzewa się do was tyłem odwracają
I patrzą w niebo...
Niebo jest senne i błękitne —
Ptaki je kreślą w linie długie
Znaki tajemne...
Nuda wisi na drutach
Na drzewach...
Rodziny godnie ciągną po przez miasto —
Jutro — znowu trzepanie dywanów,



K. LARISCH Piknik

K. FILIPOWICZ

DWA FRAGMENTY

„Twój ojciec sypia zawsze z rozkrzyżowanymi ramionami, że nie ma już dla mnie miejsca w łóżku"— wspominała go przed synem rozbierając się.

„Twój ojciec parska tak jak ty, kiedy się myje" — porównywała go w ostygłej przez noc kuchni.

— Mój mąż znalazłby napewno z tego jakieś wyjście — skarżyła się przed sąsiadkami, — mój mąż odwróciłby się na pięcie i poszedł jakby go coś takiego spotkało — radziła Konczyńskiemu. Mój mąż w Serbii prowadził linie telegraficzne, mój mąż w Uralu zawiadywał kopalnią rudy, w Skandynawii był właścicielem magazynów handlowych,, a w Ameryce miał fabrykę chemikaliów. Cóż robiłby tu? A wieczorem, kiedy syn zasypiał przy samej ścianie, zostawiając dla niej dość miejsca, brała laskę i szła zanieść na pocztę wielką żółtą kopertę zaadresowaną dużym, stojącym pismem: Monsieur Wiktor Friedben, Hennegau Belgia-Belgique.

Z miasta wracała krok za krokiem podpierając się laską i zdrabniała w myśli jego imię. Praca w biurze intendantury wojskowej zaopatrującej armie walczące jeszcze na wschodzie, otwierała jej dostęp do biuletynów donoszących o wydarzeniach na całej kuli ziemskiej; nauczyła się rozumieć, dlaczego na każde słowo powiedziane za oceanem wybuchał na pozycjach granat, a bohaterskie pułki cofały się przed niewidzialnym nieprzyjacielem wygłaszającym mowę w obcym parlamencie. Na zachód prowadziły wszystkie drogi do fabryk zaopatrzenia wojskowego, na zachód szły telegramy przyspieszające transporty i tam gdzieś osoba jej męża wplątana była w jedno z ramion tej machiny. Korespondencję nadchodzącą z belgijskich fabryk amunicji i wytwórni precyzyjnych instrumentów, masek, klamerek do pasków, oferty tyczące się najdrobniejszych szczegółów ekwipunktu wciągała do ewidencji z przesadną gorliwością i pośpiechem, niby współwłaścicielka wielkiego przedsiębiorstwa pana Friedbena, którego interesy zależą od jej wysiłku.

On nie dawał znaku życia już od roku, ale o tem, żeby nie żył nie było mowy. Obecność jego gdzie bądź na świecie jest dla niej tak potrzebna, że jego śmierci nie bierze poprostu pod uwagę. Ale ludzie nie umieją tak prosto patrzyć na życie, dopytują się często: jakto, kiedyż wreszcie pani mąż wróci? Oburzała się, mój mąż przed wojną w Inflantach handlował futrami, w Algierze był urzędnikiem ban-

kowym, mój mąż... nie widzę dla niego tutaj zajęcia, czy chcielibyście, żeby taki człowiek marnował swoje olśniewające zdolności, swoje pięć języków przy okienku na poczcie albo w magistracie? Wyciągała fotografię przedwojenną, w stylu który nic nie mówił o samym człowieku. Wąsy, wysoki kołnierzyk, jakaś sztuczna fryzura. Potem drugą przysłaną przed rokiem. Dwaj starsi panowie i mała dziewczynka z kokardą siedzą na ławce na tle fontanny z lwem. Jeden z panów trzyma laskę między udami i robi śmieszny ruch dłonią, jakby do kogoś, kto odszedł poza fotografię. On, w koszuli, z marynarką na lewym ramieniu i prawą ręką na piersiach, śmieje się prosto w oczy oglądającemu obrazek. Dziewczynka w środku. Rzeczywiście, tak swobodnie mogą żyć tylko wielcy ludzie i w takiej dobrej komitywie z eleganckim panem, który daje znak dłonią; zresztą nawet nie wiadomo czy jej mąż nie jest tu główną osobą a nie pan z laską

Miała jeszcze jedną fotografię ze świata męża, tej nie pokazywała wszystkim ludziom, nie było na niej jego osoby, obrazek dotyczył szczegółu zdarzenia, w którym on odgrywał jakąś rolę i wymagał długiego opowiadania, nawet wyciągania listu Było to blade, brązowe zdjęcie na cienkim papierze: auto ciężarowe wypełnione ludźmi, na których zarzucono olbrzymią sieć jak na cielęta wiezione do rzeźni. Sieć opina doskonale ludzkie ramiona i głowy i jest zaczepiona o krawędzie pudła. Na stopniach po obu stronach szofera stoją żołnierze z karabinami, sterczącymi wysoko nad głowy. Auto zmierza na ukos ku wysokiemu, białemu budynkowi, otoczonemu palmami i wyglądającemu jak jakaś cudzoziemska świątynia. Po niezliczonej ilości wąskich stopni wychodzi właśnie z gmachu na spotkanie auta dwóch ludzi. Obrazek ten robił za każdym razem świeże wrażenie na pewnych znajomych pani Friedben, mógł im zresztą coś przypominać. Wyrywali go sobie z rąk i sto razy odczytywali objaśnienie na odwrotnej stronie: „mieliśmy tu małą rewolucję". Goście porozumiewali się wspomnieniami wlepiając w siebie oczy, potem on wciąż nie odrywając uwagi od skośnych, podmalowanych powiek i niesymetrycznych policzków swojej towarzyszki, ciągnął powoli szukając w niej zgody na każde słowo: „My będziemy panią odwiedzać, należymy do ludzi ,do których pani mąż mógłby mieć całkiem słuszne pretensje, gdybyśmy odmówili opieki jego żonie". Byli codziennym gośćmi i pani Friedben zaczęła tracić do nich szacunek, a stosunek ich do niej zmieniał się na przestrzeni miesiąca w pewien rodzaj służalstwa. Mogła z nimi robić co się jej podobało, wyrzucać o każdej porze, krzyczeć przez drzwi: dobranoc, śpimy, powierzać im syna na długie popołudnia, które przesiadywała w biurze, porając się ze stosami papierów. Byli najgorliwszymi, najbardziej ofiarnymi słuchaczami z pośród jej znajomych, a jedynymi którzy z jej opowiadań domyślali się czegoś nawet więcej o Friedbenie niż ona sama wiedziała. Miał odprysk żelaza w prawej dłoni i dlatego nie służył nigdy w wojsku, zresztą mundur zniszczyłby obraz tego niezwykłego człowieka i upodobnił do miliona innych. Byłby może zginął któregoś dnia od jednego karabinu maszynowego razem z dziesięciu tak samo ubranymi ludźmi. Tu Friedbenowa zbliża się do najdrobniejszych szczegółów życia, nawyków i gestów mężczyzny, z którym miała dziecko śpiące teraz z otwartymi ustami i dziko wykręconymi ramionami w jej łóżku.

W wielkim rosyjskim tygodniku, organie paryskiej emigracji, jedynej gazecie jaką Karowowie pre-



K. LARISCH
W kawiarni

numerowali, na pierwszej stronie tych olbrzymich, nieporęcznych arkuszy, ukazał się z daleka, z rąk listonosza, od drzwi, napis w czarnej obwódce bez krzyża:

Wiktor FRIEDBEN
dziennikarz
zginął straszliwą śmiercią
w czasie tragicznych zajść
28 sierpnia 1919 roku
w Trubii

Na wszystkich następych stronach powtarzały się nekrologi podpisane przez oficerów i żołnierzy II dywizji generała Wrangla, związek dziennikarzy rosyjskich na emigracji „Ojczyzna i Prawda" i dziesiątki innych stowarzyszeń, kółek, klubów, ognisk, zrzeszeń i zjednoczeń. Na przedostatniej stronie mały obrazek, liche, szare zdjęcie rozległego placu otoczonego drzewami i niskimi domkami. Karabiny poustawiane w kozły długim wężem, ludzie stoją swobodnie, pojedynczo, poobracani w różne strony. Pod obrazkiem notatka: ...„tłum rzucił się na auto ambasady angielskiej i poranił ciężko urzędnika placówki zagranicznej jednego z mocarstw. Towarzyszącego mu naszego rodaka Wiktora Friedbena wywlekli bandyci z auta i znęcali się nieludzko, podając go sobie z rąk do rąk. Wyzionął ducha dosłownie rozniesiony na kawałki przez oszalały motłoch". Karow zbiegł do budki po jakąś znienawidzoną, republikańską gazetę. Na pierwszej stronie ten sam obrazek, tylko bardziej wyblakły, powtórzony milionowy raz, z niepozornym komentarzem: „w Turbii prowincja Oviedo, Hiszpania, wybuchły groźne rozruchy na tle strajkowym. Robotnicy zatrudnieni w fabrykach amunicji porzucili pracę po odmówieniu im podwyżki przez dyrekcję. (Mimo licznych zamówień jakie tamtejsze zakłady wykonują już od szeregu miesięcy). W czasię demonstracji padło kilkunastu zabitych robotników. Do strajkujących przyłączyli się okoliczni robotnicy z plantacji. Podczas starcia zginął pewien przemysłowiec francuski udający się autem na dworzec kolejowy w towarzystwie urzędnika ambasady brytyjskiej. Jak nam donoszą do ostatnich godzin miasto było jeszcze w rękach rewolucjonistów".

Karow, nie patrząc na żonę, zrzuca próbki mydeł i perfum do walizki, idzie na swoją codzienną wędrówkę agenta fabryki kosmetyków. W krótkim raglanie odstającym od bioder wydaje się garbaty.

Jego żona dziś ani jutro nie pójdzie do Friedbenowej, nie zna słów jakimi można by jej to powiedzieć. Nie wie, że nawet ten rodzaj śmierci, jaką zginął Friedben nie byłby go jej w stanie uśmiercić.

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

Ranki

Tamten szumem owijał ścieżkę polną i dom,
a ten urósł ogromny w dąb.

W tamten ranek wychodziłem zawsze przed sień,
czując w płucach nawiany wilgocią dzień.

A ten w słońca sukienkach skrzy się,
Kroplami trąca jak w szkło w dębowe liście.

Tamten z gołębiami wybiegał na ściernie
i przynosił pola, jesień i ciernie.

A ten, choć uparcie inaczej rośnie wokół,
tylko w oczy sypie dym porannych obłoków.

Ha — spotkały się kiedyś dwa ranki,
w ruch zaraz poszły szklanki, sklelice, dzbanki!

— Pij, ile możesz, jeśli tym rankiem jesteś ty,
gdzie domki nie szklane i łzy i dym.

Pij, ile możesz, jeśliś mój ranek,
trącany wiklinami, pluskany kijkiem kijanek.

Pij, ile możesz, dzwoneczkami szklenic się posil,
ranku srebrny, bracie śpiący, jak motyl.

Pili, pili — szklenicami jak rosą dzwonili
a noc już ku innemu rankowi się chyli.

Więc zaraz, jak tylko zawiał przedranny wiatr,
w skorupy potłukli szklenice i szklanki i dzban.

Więc zaraz poranny zachwyt popłynął za wodą:
(pyłki świtu, kruszynki, łątki błękitnej młodość.)

„Z okna jak z życia wyjrzałem, uchyliłem firanek:
mgła; pola jadą. Wiatr. Trzeci ranek.

ZYGMUNT FIJAS

NOTATKI PROZĄ

LIPIEC

Lipiec to pora miodów powietrznych zawieszonych u brzegów kamienic. Soki ciekną wzdłuż chodników, krzepną na granicy rezerwatu kipiącej zieleni winogradu i zielska rozlazłego.
Niebo ma kolor błękitnych oczu, które blakną. Lipy jak krynoliny pod żarem jupiteru naśladującego blask słońca.

Skądś wyleciał rój pszczół i zawisł na dzwonnicy.
W oknie organiścina nabiera chochlą zsiadłe, zimne mleko i kraje chleb na cienkie plastry.
Dzieci mają twarze przeźroczyste, zamyślone, jak twarze z Burne Jonesa.

U BRZEGÓW WIELKIEJ DOBREJ WODY

Strumień z gór rozdzielał łąkę na dwie prerie. W strumieniu były jelce, pstrągi, brzany na łokieć długie, oraz chmary strzebli (wróbli wodnych). Tutaj wystawał Sokole Oko z łukiem i dumał o płowowłosej Alicji, córce generała francuskiego z Paryża, porwanej przez ludożerców. Zadumę jego przerywał Walenty Pazdyrek, wybiegający z ukrycia z rzemieniem w ręku, moczonym na ten cel, który spotykał wodza Sokole Oko, dumającego o płowowłosej Alicji porwanej przez ludożerców.

Wieczorami płonęły ogniska Siuxów na wysepce. Sokole Oko śpiewał nienawistną pieśń o białym farmerze Walentym Pazdyrku, więzącym Alicję. (Przytem pożerającym białe mięso).

Plemię tańczyło z nożami kuchennymi i rozcierało gliniany posążek, wyobrażający farmera, mełło jego wyobrażenie na maszynce do mięsa. Biały strzelał z fuzji, z wysepki strzelano z korkowców.

Aż raz wyprawa na baliach odkryła w dolnym biegu strumienia: polanę dobrego plemienia Delawarów. Tutaj nie zachodziła stopa białego. Stada białych beczących bizonów doglądane przez pasterzy pasły się, zaś Michaś Diogenes, czerwonoskóry guślarz iskał się mrucząc zaklęcia.

Siedźmy tu! (w granatowej wodzie portu kołyszą się balie, po polanie biegnie głos okaryny Michasia Diogenesa). Za chwilę pojawi się widmo Alicji. Uśmiechnie się.

POGRZEB STRYJA TEODORA

Latarnie rozpaćkały kicz smutku na prześcieradle w zapluskwionym blejtramie. Kilkanaście łez nad tym starym pijaczyną Teodorem, który umarł na delirium tremens. Melodramat żalu i tragifarsa wierzycieli, zamyślających ściągnąć z nieboszczyka kamizelkę tabaczkową z złotym Roskopf Patentem. Potem Salve Regina pijanego organisty, który wpada do mogiły przez nieostrożność. Posępny zachód otwierający ogień z purpurowej baterii igra na frędzlach karawanu, którym wraca do domu gromada rozweselonych dzieci.

BURZA W LESIE

Las ma słuch nietoperza. Jeszcze puchacz nie zarył się w dziupię, kuna żerująca na świecącej polanie, jeszcze nie wpełzła między listwy tartaczne. (Tartak kwiczący przysiadł nad cynowym potokiem. Zgniła śliwa świeci w ciemności elektrycznością, która zbiera się u podnóży drzew). A już huśta się goły pień zeschłego świerku. (Jeszcze koniuchy nie w budach).

A już w błyskach zwala się deszcz w posępny huragan paryj.

Żbiki świecące w ciemnościach, kuny,—tartaczna piło żrejąca trociny w kwiku, drżyjcie przed nawałą spękaną od gniewu. Niebawem ogień wydrze sosnę z podziemi, pożar wyniesie nad leszczynę buki.



K. LARISCH Martwa natura

WIŚNIE Z MYDLARNI

W sadzie wiśniowym stała mydlarnia. Pomiędzy kwitnące drzewa kładziono kadzie z łojem cuchnącym. Z okna facjatki dobiegał śpiew kosa i głuche buczenie fagotu. Mydlarze wdychali zapach wiśni drapiąc się po obrośniętych, uznojonych piersiach. Wyprowadził się fagot, kos uciekł z klatki, lecz wiśnie dojrzały w odorach łoju... Błyszczały ich grona dziewicze, soczyste pod słońce przebijające brudne dymy mydlarni.

RYNEK

Zamiatacze zbierają na miotły rudy pył rynku. Pocioskami zgarniają go w kopce, podczas gdy z okien płynie melodia Szopena. Grube pnie klonów zwarzonych upałem utleniają promienie nasiąkłe zapachem końskiej uryny. Pani burmistrzyni śpiewa Pieśń Solvejgi wśród dachów z grynszpanu.

I oto obłok zarzucił płachtę siwioną z namysłem w błękicie. W dziurze płachty, cały z okry i bieli cynkowej trzęsie się, rży — koń.

KOZA, STARUSZEK POD PŁOTEM

Pasł kozę pod płotem staruszek Maryśka Bez Wąsów. Płot był zgrzybiały, buchały spod płotu kupska łopuchów. Płot był zgrzybiały, jadł go grzyb i porost rdzawy. Staruszek umarł pod płotem śpiewając piosenkę z lat dziecięcych o matce, która kołysała dziecko w antalku z piwa. Koza beczała do świtu, tęskniąc do stajni.

* * *

Żelazo-kamienne twierdze o dwutonnowych pigułkach wybuchu. Pancerniki skradają się ku morzom, prując toń mroku wystrzałami reflektorów. Wytężają się uszy podsłuchów ku hydroplanom. Gdzieś w fali pluszczą stalowe rekiny, czają się w wodzie dyszącej rujami żelaza. Trwożnie skomli zbłąkana syrena.

I nagle z ciemności wynurza się ślepię pocisku, wywala się huk. W kłębach dymu rozpryskują się szkarłatne smugi. Wybuchają wody, zapada lęk. Znowu pękają ciemności w jurnych hukach zbrodni, pokwikują histerycznie sygnały.

Trup parowca handlowego zabitego torpedą płonie huśtając się.

MICHAŚ DIOGENES

Nie spał w beczce, lecz na strychu. Chodził w podartej szacie przypominającej chiton. Kuchnia wojskowa wydzielała mu codziennie menażkę zupy za braki w umyśle. Burmistrz, który odwiedził i zapytał go o potrzeby jak Aleksander Wielki, odszedł zbyty jak i tamten słowami: — „Nie zasłaniaj sobie słońca moją osobą".

STAWY

Grzybień ogniły stał w kocurzyskach przebrzydłych wzdymanych bekaniem mułów. Stawy ginęły w powolnej agonii upałów, chodzących tu chłodzić się przed ognistą męczarnią piasków nadrzecznych. Omdlewały i tu upały bulgocąc zrzędnie wraz z żabami.

— grrak grrrabarzu żuku grrak — mamrały żaby.

— a bul, — bulbulbul — odpowiadał muł kotłujący się w baniach gazu błotnego.

Pewnego dnia spieniony żółty wylew gór zmył stawy i wrzucił w główne koryto. Gdy woda opadła słońce przychodziło się kąpać o zmierzchu. Kryształ piasków skrzył się w jego ametystowym usypianiu Złociły się kaczeńce.

APTEKARZ Z PROWINCJI POD GRZĘDĄ ROZMARYNU

Gorący ukrop z muterbleter podawała ci matka z tej właśnie apteki stojącej pod opatrznością kasztanu o grubych żyłach konarów.

Tutaj sporysz (zbierany przez baby o czerwonych nogach sparzonych mrozem) suszy się w zdychającej witrynie o smutnych, umorusanych szybach. Tu olej koloru akwamarynu wygrzewa się do słońca.

Już w oku aptekarza nie błyszczy promień wieczorny koloru herbaty lipowej. Nie błyszczy łza wyciśnięta na wspomnienie o pani aptekarzowej, która umarła cicho jak malwa jesienna.

Dzwonią.

Aptekarz śpi snem nieskończonym pod grzędą rozmarynu.



K LARISCH Ulica

H. WIELOWIEYSKA

Kawiarnia

Za drutem. Za drutem z pelargonij.
Przestrzeń upstrzona krzesłami.
(Bzyk much na lepie).
Białopajęczy buja nad głowami.
(Pani ma białe łokcie)
Białopajęczy — Płacić!
Bzzz. Bzzyk. Tępy stuk (Pan za okularami).
Za szramą z pelargonij. Za ramą czerwonej rany:
Kaskadą szumiące gazety.
Nie muchy (deszcz w oknie)
Pani ma białe łokcie. Niedojrzałe banany.
A szkło na stoliku zielone.
Płacić!
Ręce. Skorupiaki. Kraby.
Rozwięzła powolność akwarium
w brązowej portmonetce.
(Pan za okularami).

PODSZEWKA ROMANTYZMU

Teatr M. im. Juliusza Słowackiego: „Lato w Nohant" komedia w 3 aktach Jarosława Iwaszkiewicza.

„W każdym razie niesprawiedliwymi są ci, którzy (jak większość biografów Szopena) oskarżają tylko George Sand, obrzucają ją obelgami i biadają nad „nieszczęśliwym" Szopenem" *). P. J. Iwaszkiewicz z zupełną bezstronnością pokazał nam konflikt między dwojgiem „Kochanków z Nohant" i ten zarzut w żadnym wypadku nie może go dotyczyć. Ze spokojem, graniczącym chwilami z zimnym okrucieństwem, ukazuje nam autor tych romantyków, odartych z romantyzmu, romantyków na codzień, z ich może nawet przejaskrawionymi wadami i śmiesznostkami; wreszcie nieporozumienie powstałe jak zwykle z powodu błahostki, ale przygotowane już przez długotrwały konflikt, konflikt charakterów i temperamentów tylko. Kto wie czy wadą tej tak ciekawej sztuki nie jest właśnie zbyt ścisłe trzymanie się danych historycznych; czy dwoje głównych bohaterów, to jest George Sand i Szopen, nie nabrałoby więcej wypukłości i prawdy, tym razem nie życiowej i psychologicznej, ale teatralnej, gdyby ich starcie się miało jakiś określony cel; gdyby tych dwoje ludzi nie walczyło w próżni, każde z sobą samym i jakgdyby na marginesie życia w Nohant. W każdym razie zyskałaby na tem jedność sztuki, odważmy się powiedzieć: jedność akcji, rozbitej obecnie na dwie równorzędnie absorbujące widza sprawy: Szopena i Solange. Dramat biograficzny jako rodzaj mający za bohaterów wielkich ludzi, których każdy ułamek życia jest przez niedyskretnych a dociekliwych historyków opracowany z dokładnością nieraz dnia czy godziny, tai w sobie dwa niebezpieczeństwa, dwie różne alternatywy: albo przedstawić bohatera takim, jakim stworzyła go tradycja krytyczna i jakim jest już dla wszystkich — a wtedy już od pierwszego aktu bohater jest znany i po prostu nudny; widz nie tylko przewiduje, ale w i e napewno, jakie zdarzenia będą tematem sztuki i jakie będą reakcje bohatera; albo też pomijając najbardziej znane wartości bohatera, ale równocześnie i najistotniejsze, zagłębić się w drobnych szczegółach biograficznych, mało znanych i mało ważnych ciekawostkach historycznych. W pierwszym wypadku wierność i ścisłość historyczna autora polega na odtworzeniu naszego zwykłego stanu wzruszeniowego, który w nas wywołuje sam dźwięk nazwiska bohatera; na rozciągnięciu go na przeciąg 3 czy więcej aktów, stopniowaniu i urozmaicaniu przez wprowadzenie akcji, perypetyj. W drugim na stworzeniu w nas n o w y c h wrażeń, a na scenie nowych ludzi a jednak zgodnych z historią. Ta nowość wypływa właśnie z odrzucenia rzeczy zbyt znanych, a z opierania się na faktach również sprawdzonych historycznie, ale mniej znanych, mniej ważnych. Różnica tych dwóch metod polega tylko na w y b o r z e faktów, które w jednym i w drugim wypadku są zgodne z historią. Tak więc Szopen przez dwa akty był poza sceną; przez cały czas trwania sztuki grał ciągle ten sam krótki fragment tej samej sonaty i irytował się o pulardę, co wszystko jest zgodne z historią, ale niezgodne z wyobrażeniem naszym o Szopenie, — a George Sand zajmowała się Szopenem, domem i dziećmi, ale nie napisała ani jednego zdania z rozpoczętej powieści, co również może być zgodne z historią; w naszym wyobrażeniu jednak George Sand pozostawiłaby Solange, Augustynę, Szopena i pulardę samym sobie a zajmowałaby się Lucrezią Floriani. Tak samo Solange i Maurycy pokazani są od innej strony niż ta, od której zwykliśmy ich widzieć; na manowcach drobiazgowej ścisłości zagubił się autentyzm postaci. Maurycy jest słabym i uległym matce chłopcem, pokątnym donżuanem; gdzieś zapodział się artysta, teatrolog i naukowiec. Najlepiej chyba wyszła na tem Solange; w rzeczywistości najzupełniej nie romantyczna, jest w sztuce jedyną postacią romantyczną. Pokazana w przełomowym dla niej momencie nie ma okazji roztoczyć przed nami wszystkich możliwości niemiłego charateru; to ona jest nieszczęśliwą, niezaspokojoną romantyczką, ona jest pokrzywdzoną, a wreszcie ona działa i chce. W niej jednej jest zawarty dynamizm sztuki, dlatego ona właściwie jest główną bohaterką i ona ma za sobą całą sympatię widza. George Sand nie powieściopisarka, nie ta, która przez całe życie rozwijała się artystycznie i ide-

*) Karenin: George Sand

Następny podwójny, (za sierpień i wrzesień,) numer Naszego Wyrazu wyjdzie z końcem sierpnia i będzie zawierał między innymi artykuły: **T. Cybulskiego, Zb. Kłonicy, Franciszka Skołyszewskiego L. Kruczkowskiego** *fragment powieści, wiersze* **J. A. Frasika i J. Srogi,** *oraz reprodukcje* **T. Cybulskiego, W. Strzemińskiego, K. Kobro, M. Jaremy, S. Blondera** *i inn.*

Od września Nasz Wyraz będzie wychodził normalnie, przed pierwszym każdego miesiąca.

owo, przechodząc od romantycznego autobiografizmu, poprzez powieść społeczną i mistyczną do powieści wiejskiej i wkońcu znowu „romantyczno-światowej", jest poprostu zwykłą, dość miłą herod-babą w niebezpiecznym wieku. Cała sympatia, cały szacunek, który mamy dla niej i dla Szopena opiera się na tym, czego w sztuce niema, darzymy ich nimi na kredyt. I dlatego romantyczną jest Solange kiedy cierpi i kiedy nie może obronić się nieświadomym czy w końcu świadomym, niezaspokojonym pragnieniom zawiedzionym nadziejom, a nie George Sand, kasztelanka z Nohant, ani Szopen o oznaczonej godzinie popijający bulion i troszczący się o źle zapakowane kamizelki, czy nawet wspominający obrośnięty winem domek w Warszawie.

To wszystko może być minusem — lub plusem sztuki, zależnie od tego, które z 2 stanowisk teoretycznych zajmuje się. Niezaprzeczalnym, bezwzględnym plusem jest w teatrze zawsze każda nowość, niespodziewaność. Uporczywa gra Szopena i nieobecność jego na scenie stwarza tę właśnie ciężką, monotonną atmosferę, na tle której zrozumiałe i w pewnym sensie k o n i e c z n e stają się wypadki burzliwego lata w Nohant. George Sand zapobiegliwa właścicielka, wreszcie George Sand macierzyńska, apodyktyczna, prosta, Szopen słaby, kapryśny i arystokratyczny; prawda historyczna i prawda „Lata w Nohant" pokrywają się — i na tym polega ścisłość Iwaszkiewicza jako biografa. Konflikt psychologiczny tych dwojga, to nie co innego, jak konflikt „odwróconych ról" przedstawiony przez M. Mille'a: to co jest zniewieściałego w Szopenie znajduje swoje uzupełnienie w męskim charakterze George Sand; uzupełnienie, ale równocześnie powód do silnej reakcji. Już samo zetknięcie się dwóch tak różnych charakterów i temperamentów wróży konieczność rozstania.

„Lato w Nohant" było zagrane wyjątkowo dobrze. Cały zespół stał na wysokim poziomie, który przywieźli ze sobą z Warszawy pp. Przybyłko-Potocka i Ziembiński; bezsprzecznie najlepszą była p. Pawłowska, która z roli Solange stworzyła prawdziwą kreację.



K. LARISCH — Zuzanna w kąpieli

ODPOWIEDZI REDAKCJI:

P. Fr. K. Noweli nie wydrukujemy. W myśl życzenia odesłaliśmy.

P. Kr. S. Warszawa. Miło nam było poznać zapatrywania Pani na współczesną poezję. Z przesłanych wierszy nie skorzystamy przede wszystkim dlatego, że nie umieszczamy utworów już gdzieindziej drukowanych.

P. J. S. Nowela pójdzie w następnych numerach.



L. WYCZÓŁKOWSKI Chrystus

HANNA KRZETUSKA

Parę słów o wystawie L. Wyczółkowskiego

Wystawa zbiorowa — pośmiertna prof. Leona Wyczółkowskiego w Pałacu Sztuki, miała zapewne jako cel — pokazanie nam całokształtu twórczości zmarłego artysty. Nasuwa się tu jednak pewna wątpliwość — czy należy pokazywać bezwzględnie wszystkie dzieła artysty, — czy też pokazać nam Jego oblicze przez dobór odpowiednich prac? Organizatorzy tej wystawy poszli niestety po linii najmniejszego oporu, to też cierpi na tym ogólny wygląd wystawy. Obok pełnych czaru akwarel wawelskich — namnożono niesłychane ilości kwiatów, prawie że z jednej epoki — nie dających zupełnie określenia fizjognomii artystycznej Wyczółkowskiego. Niezwykle skromnie natomiast reprezentowany jest okres świetności tego bujnego talentu, t. zw. okres „ukraiński", to jest czas, kiedy Wyczółkowski po powrocie z Paryża malował przeważnie plener, pod silnym wpływem impresjonizmu. Oryginalny niezwykle talent Wyczółkowskiego i Jego nieprzeciętna indywidualność dały nam tę niezwykle bogatą spuściznę plastyczną, którą należałoby we właściwy sposób pokazać, — nie obawiając się pomniejszenia sławy, — przez pewną selekcję, umiejętnie i fachowo przeprowadzoną. Krzywdę niepowetowaną wyrządza się każdemu, a zwłaszcza wielkiemu artyście, pokazując nieistotne Jego dzieła! Miejmy nadzieję, że obecnie wobec zamierzeń kontynuowania wystawy do 1-go września, i uzupełniania jej innymi dziełami, organizatorzy wystawy postarają się o udostępnienie publiczności najcelniejszych, a zarazem najbardziej charakterystycznych obrazów Wyczółkowskiego, których obecnie brak. Kto bowiem nie zna Wyczółkowskiego, temu trudno będzie ocenić Jego wysoce interesującą twórczość. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że Wyczółkowski wyszedł ze szkoły Gersona, (Warszawa), poprzez Wagnera (Monachium), by skończyć u Matejki w Krakowie. Wpływy te jednak giną dość szybko, i rozpływają się w jasnym i barwnym malarstwie pierwszych impresjonistów. Na przełomie dwóch epok, zarówno w czasie, jak i w plastyce — wchłania Wyczółkowski różne wpływy. Przez znajomość z Feliksem Jasieńskim przejmuje się szalenie japońszczyzną. Wpływ ten jest może najsilniejszym, i pod koniec życia, kiedy Wyczółkowski rzuca malarstwo by się całkowicie poświęcić grafice, grafika ta nosi wybitne piętno rysunku japońskiego. I może właśnie w tej grafice się najbardziej Jego twórczość konkretyzuje, dochodząc do niebywałych wynalazków technicznych.

Trudno streścić wrażenia z wystawy — w krótkiej notatce — zwłaszcza jeżeli ta wystawa ma być niejako hołdem dla zmarłego. Jedno jest dla mnie jasne: że istota twórczości Wyczółkowskiego to przede wszystkim plener. Wyczucie pejzażu, kompozycja architektury, rysunek drzew — oto sfera gdzie ten ogromny talent się wyżywał.

Kraków, czerwiec 1937 r.

Prosimy o odnowienie prenumeraty.

Teatr

CZERWONY KAPELUSZ

Teatr M. im. J. Słowackiego: „Czerwony Kapelusz", kom. w 3 aktach J. Fuchsówny.

Debiut p. J. Fuchsówny to jeszcze jeden dowód na to, że po lekką komedię nie należy koniecznie sięgać do repertuaru zagranicznego. Wszystkie Młode i stare wina, By rozum był przy młodości i inne Woodley'e nie górują nad polskimi komediami ani zaletami budowy, ani ciekawym ustawieniem sytuacyj ani ciętością dialogu, który w tłumaczeniu traci z reguły lekkość i część dowcipu. Koniecznością jest wystawianie zagranicznych sztuk z „wielkiego repertuaru" i sztuk awangardowych; tych ostatnich gra się ciągle jeszcze za mało. Rzadko który teatr zdobywa się na granie Giraudoux czy Marinetti'ego; krakowscy „Jeńcy" byli wiernym powtórzeniem lwowskich, tak ze względu na inscenizację jak i dekoracje, cała zasługa wystawienia ich jest po stronie teatru lwowskiego i dyr. Horzycy, który pierwszy zdecydował się na ryzyko. Ale o ile powtórzenie „Jeńców" jest z punktu widzenia interesów nowego teatru najzupełniej uzasadnione, o tyle wystawianie za Warszawą zagranicznych komedyjek jest bezcelową kontynuacją nieznośnego status quo; zamiast wychowywać publiczność i przygotowywać ją do przyjmowania nowych, bardziej skomplikowanych wrażeń w teatrze, hoduje się i ustala już wiele razy stwierdzone, wypróbowane reakcje. Każdy za to debiut, każda prapremiera polskiej sztuki, choćby najbardziej tradycyjnej i nie przynoszącej nic nowego w sensie techniki, czy jak kto woli formy teatralnej, jest krokiem naprzód; autor, który widział już swoją sztukę na scenie będzie na przyszłość unikał zauważonych przez siebie błędów. Dramat jest rodzajem literackim, który genialny w czterech ścianach pracowni może się okazać na scenie beznadziejnym literackim dialogowaniem albo pozbawioną spoistości kaszą farsowych tricków i cyrkowych podrygiwań. Z całą świadomością na jaką stać p. Grypsa z Karolkowej, który w podróży naokoło świata odkrył Akropol, powtarzam te stare już postulaty młodej sztuki. To jest nasz „Czerwony Kapelusz", nasza czapka frygijska, jaskrawa płachta, którą drażnimy wbitego czterema kopytami w polską scenę byka tradycji.

Miła, z lekkim zacięciem melodramatycznym komedia p. Fuchsówny bawi i nie nuży, pomimo wprowadzenia przez autorkę długich dialogów, szczególnie w ostatnim akcie. Dzieje się to dzięki dystansowi z jakim traktuje p. Fuchsówna swoich bohaterów — nawet tych, do których odnosi się z sympatią. Zgrabny dialog satyryczne ujęcie rzeczywistości, to najważniejsze zalety sztuki; równoważą one ze swej strony pewne przeładowanie literackością i aktualnym dowcipem (najlepszego gatunku zresztą) w akcie drugim. Za te błędy jednak odpowiada także inscenizator — niesłusznym byłoby w tym wypadku przypisywać winę tylko autorowi. Z wykonawców wyróżnili się p. Suchecka i p. Fabisiak, który ze swej komicznej roli potrafił wydobyć maximum sentymentu.

„NA MARIACKIEJ WIEŻY WSZYSTKO JAK NALEŻY"

Teatr M. Im, J. Słowackiego. „Jaskółka z wieży Mariackiej" K. Krumłowskiego. Opracowanie sceniczne W. Radulskiego, dekoracje T. Orłowicza.

Nie mająca nic wspólnego ze sztuką przykra bujda nazwana wdzięcznie „wesołym wodewilem" nasuwa wcale nie wesołe refleksje na temat wyobrażeń „wielkiej sceny" o wodewilu i o wesołości w teatrze. Wielką chwilę opuszczenia Krakowa przez Austriaków przedstawiono wyjątkowo niesmacznie. Płaskie dowcipy na temat rozpadającej się Austrii, wreszcie dość luźno związana z całością widowiska intryga, polegająca na tem, że córka strażaka z wieży Mariackiej jako pokojówka komendanta miasta wykrada plan zbombardowania Krakowa, oto moralny sens tej historii. Wierzę razem z autorem, że bez tego niebezpiecznego papierka Austriacy nie potrafią strzelać ani rzucać granatów, wierzę, że stary pułkownik, doktór wojskowy wyciąga od dziadów po 80 centów za znienacka przeprowadzoną dezynfekcję, wierzę, że żona komendanta miasta jest starą małpą a córka strażaka z wieży mariackiej wymarzoną żoną dla docenta ornitologii we Wiedniu czy w Heidelbergu, ale nie wierzę, żeby inny jakiś teatr wystawił kiedykolwiek tę sztukę, nawet w najbardziej „letnim" sezonie.

Reżyseria p. Radulskiego podkreśliła wszystkie dwuznaczne, a raczej zupełnie jednoznaczne dowcipy. Z pośród czteroliterowych i innych strażackich aluzyj wybijał się na pierwszy plan widowiskowy moment przeglądania podczas rewizji staroświeckiej bielizny nieprawdopodobnych rozmiarów. Huczne oklaski nagrodziły subtelny dowcip i pracowitą inwencję inscenizatora.

Na zupełnie innym poziomie stała gra aktorów, który grali z podziwu godną uczciwością i dobrą wolą, jak również dekoracje p. Orłowicza: ładny w kolorze plac Szczepański i pomysłowa dekoracja przedstawiająca wieżę Mariacką wśród opadających obłoków.

H. Wielowieyska.

Książki nadesłane

Karol Larisch 1902—1935. Monografia artystyczna. Opracowali Jan Cybis i Kazimierz Mitera. Kraków 1935. Wyd. „Głosu Plastyków" str. 79.

„Twórczość Karola Larischa jest nie tylko świadectwem dążeń i osiągnięć przedwcześnie zgasłego artysty — ale jest również dokumentem i jakby przekrojem istotnej pracy, jaka dokonuje się w chwili obecnej w szeregach współczesnej młodej plastyki polskiej". Analizuje ją Jan Cybis w mądrym artykule poświęconym sztuce Karola Larischa i wykazuje ścisły związek jego dzieł z najlepszymi wzorami impresjonizmu. Ulubiony przez Watteau i impresjonistów temat „fetes champêtres" przewija się przez całą twórczość Larischa — nie mamy tu jednak do czynienia z kwestią wpływów, ale głęboko tkwiącym umiłowaniem przyrody i ludzi gromadnie odpoczywających po pracy. Tę stronę osobowości i twórczości Larischa podkreśla Lech Piwowar we wspomnieniu: „Z nad stolika kawiarnianego".

Pięknie wydana monografia zawiera 54 dobrze dobranych reprodukcyj. Oto wszystko co mogli dla spopularyzowania sztuki Zmarłego zrobić jego koledzy i Redakcja Głosu Plastyków. Nic jednak nie zastąpi żywego kontaktu publiczności ze sztuką jaki daje wystawa. Pierwszą zbiorową wystawę dzieł Karola Larischa otwarto w I. P. S.-ie 7. listopada 1935. Dwa lata mija od tragicznej śmierci krakowskiego artysty, a Kraków dotąd nie może się zdobyć na wystawienie jego dzieł. Przewlekający się konflikt ZW. ZAW. POL. ARTYSTÓW PLASTYKÓW z TOW. „PRZYJ." SZTUK PIĘKNYCH uniemożliwia nam wszelki kontakt z całą młodszą i wartościowszą sztuką, nie tylko Krakowa ale i całej Polski. Czy nie za długo?

zz.

Przegląd prasy

ZARANIE ŚLĄSNIE

Wyszedł numer jubileuszowy kwartalnika **„Zaranie Śląskie“**, organu Instytutu Śląskiego w Katowicach i Towarzystwa Ludoznawczego w Cieszynie. Numer jest pięćdziesiątym z kolei, wydany w starannej szacie graficznej i jak zwykle estetyczej; jest pewnego rodzaju antologią literacką współczesnego Śląska. Antologia niniejsza wywodzi się z „Żywego Dziennika“ Instytutu Śląskiego w Katowicach. Antologia daje obraz współczesnej twórczości literackiej na Śląsku, chociaż nie kompletny (jak sama redakcja zaznacza) omawiany numer otwiera artykuł Stefana Papée: — „Śląsk ziemia obiecana“. Na łamach znajdujemy wybór wierszy prawie wszystkich poetów piszących współcześnie na Śląsku tak tubylców, jak i przybyszów, fragmenty powieści, dramatów, nowele, artykuły informacyjne o literaturze Śląska. Z poetów tubylców wyróżnia się **Paweł Kubisz**, piszący gwarą cieszyńską i **Edmund Osmańczyk** ze Śląska Dolnego, z przybyszów znakomity awangardzista **Julian Przyboś** i **Jan Szczepański**, z prozaików najlepszy oczywiście Gustaw Morcinek i jego uczeń Adolf Fierla, niestety niema w antologii reprezentowanego dobrze zapowiadającego się prozaika z Cieszyna Kornela Filipowicza. Antologia współczesnej twórczości literackiej Śląska wykazuje, że Śląsk nabiera coraz większej prężności kulturalnej i że życie literackie coraz bardziej pogłębia się i rozszerza, co jest zasługą przede wszystkim nowych młodych talentów i gdy tak dalej pójdzie — Śląsk nietylko że dorówna pod względem kulturalnym innym dzielnicom Polski, ale może je nawet niedługo prześcignąć.

POEZJA NA WYGNANIU

Kto dzisiaj czyta poezje? — Bądźmy szczerzy: — nawet sami poeci nie znają utworów swych współkolegów. Kto widział tom poezji w publicznej wypożyczalni książek, gdzie można znaleźć morze książek mieniących się od niewybrednej sensacji i jaknajgorszej lichoty reportażowej? A jakież refleksje nasuwają się rzadkiemu czytelnikowi poezji w bibliotekach uniwersyteckich, gdzie jedynie znajduje się poezja (i to nie każdy tom), gdy prawie każdą zamówioną książkę poetycką musi rozcinać, jako jeszcze intacta? — Zagadnieniem niepoczytności poezji zajmuje się **Ignacy Fik** w **„Sygnałach“** (nr. 30) z czerwca b. r. Autor artykułu, który należałoby cały przedrukować, wymienia trzy główne grupy przyczyn strasznego zastoju na rynku poezji; jedne wynikają z ogólnej struktury społeczno-kulturalnej, gdzie olbrzymie masy chłopskie i robotnicze odsunięte są tak od produkcji jak i od konsumcji kulturalnej, a elita społeczna nie może dostarczyć odpowiedniej ilości konsumentów, jako że nie jest równocześnie elitą kulturalną, drugie złączone są z innymi działami sztuki, które nie zorganizowane, wogóle nie docierają do odbiorcy a przez to nie kształcą w nim potrzeby konsumcji, trzecie charakterystyczne wyłącznie tylko dla poezji, którą na każdym kroku traktuje się więcej niż po macoszemu; nie wymieniajmy poszczególnych wypadków, bo każdy przecież dobrze wie, że poezja dzisiaj jest na wygnaniu, a nawet w łonie samych poetów, miłośników poezji i krytyków wszystko się robi, byleby tylko jej nie pomóc. Ażeby poezję uratować, słusznie zauważa Fik, trzeba usunąć wszystkie przyczyny nie sprzyjające jej rozwojowi i istnieniu, a więc oczyścić atmosferę na odcinku poetyckim, zwrócić wszystkie rodzaje sztuk w stronę najszerszych mas, a najważniejsze wszystko to musi iść w parze ze zmianą obecnej struktury społecznej, a przynajmniej tak doraźnie — złagodzić cenzurę, zaryzykować, może to przyczyni się do sprowadzenia poezji z wygnania. „Trudno! Trzeba zaryzykować. Albo zrozumie się, że element buntu przeciw zastanej rzeczywistości i bezkompromisowa szczerość są istotą wielkiej twórczości poetyckiej, albo się wielkiej poezji mieć nie będzie. **Tertium non datur**“. — Tak, zapytajcie wieszczów Mickiewicza i Słowackiego — — tertium non datur! —

ZWIERCIADŁO

Wyszło w Warszawie już pięć numerów magazynu literacko-artystycznego pt.: **Zwierciadło.** Jest to jedyne pismo tego rodzaju w Polsce z rodzaju pism angielskich i francuskich. Łamy mienią się od wszystkich działów sztuki. Jest to zwierciadło, w którym każdy snadnie przejrzeć się może, jak głosi podtytuł; z literatury jest reprezentowana powieść, nowela, dramat, poezja, satyra ma miejsce tutaj krytyka literacka, teatr, plastyka, rysunek — karykatura, balet, rewia, kino, różnorodności dopełniają wywiady i literatura podróżnicza. Pismo wydawane w artystycznej szacie. Pisma takiego było brak od dawna w Polsce, dlatego pojawienie się jego należy powitać z wielką życzliwością. Na łamach widzimy dużo nowych nazwisk młodych autorów, znak dodatni, bo pismo nie będzie redagowane według starych, utartych manier, lecz

z większą pomysłowością, co już teraz da się zauważyć. W najnowszym numerze lipcowym (5) M. Samozwaniec dowcipnie pisze o literaturze współczesnej, twórczość prozaiczną reprezentuje Witold Gombrowicz, poezję St. Piętak i in., satyrę Światopełk Karpiński i Feliks Zandler, rysunki M. Berezowskiej, Fr. Pareckiego i inne.

W. Grem

Kronika

CRICOT

(zg) Sympatyczna scenka Cricot w Kawiarni Plastyków w Krakowie ma nowy program. Po udałym wieczorze „Fraszki pióra Pronaszki" wystawiono już „prawdziwą" operę jednoaktową pióra p. Jaremy p. t. „Korporant i Hamlet". Wesoły ten obrazek z okazji „Dni Krakowa" należy uznać rzeczywiście za udały. Satyrę polityczną reprezentował Lech Piwowar, ilustrował Pronaszko. Wesoły nastrój udzielił się nawet obecnym na sali endekom, których Piwowar obskubał doszczętnie z narodowych piórek. Konferansjerkę prowadził p, Tadeusz Cybulski. Wykonawcom należy się pełne uznanie.

TEATR AKADEMICKI

W ramach „Dni Krakowa" odbyło się wiele imprez artystycznych. Tym razem inicjatywę ujęli w swe ręce akademicy, a mianowicie Polski Teatr Akademicki. I dobrze się stało, gdyż bez ich działalności „Dni Krakowa" byłyby bardzo puste — nic prawie nie działoby się w nich.

Rozpoczęto „Panem Twardowskim" dramatem muzycznym układu W. J. Dobrowolskiego. Wprawdzie z tego tematu można było zrobić bajecznie kolorowe regionalne widowisko, dużo momentów w fabule nie zostało uwzględnionych. — Jednak p. Dobrowolski ma zasługę, że wpadł na pomysł uwzględnienia tego najpopularniejszego i lokalnego podania. Drugim z kolei widowiskiem obrzędowym był „Babski cząmber" Heleny Wielowiejskiej. Ciekawie skonstruowana sztuka wskrzeszająca prastary zwyczaj i przeżycia krakowskich żaków.

Po nich wznowiono „Otrzęsiny" z nowymi zabawnymi wkładkami. Nie obeszło się i bez groteski dramatycznej jaką była Tommy'ego „Pan Kasztelanic z wojny kokoszej powraca". Nawiązaniem do tragedii antycznej była „Ifigeneja" F. Płażka wykonana stylowo. Widowiska te spełniły modny obecnie postulat teatru na wolnym powietrzu i odniosły pełny sukces.

Bodn.

„WYSTAWA PLASTYKÓW WARSZAWSKICH"

w Z. Z. K. w Krakowie była obrazem wielkich pomyłek, jakie się mogą zdarzać ludziom o najlepszych nawet chęciach, jeżeli są pozbawieni dobrej szkoły (w znaczeniu nie Akademii czy innej szkółki, ale środowiska, w którym pracują).

Ludzie ci, nie zdają sobie sprawy ze swojej szkodliwości (zaciemniają pojęcie określające Plastykę, przez wciąganie pod to samo pojęcie ilustracyj pozbawionych zupełnie założeń plastycznych) przychodzą na teren świeży, nieświadomy, ale też nie zepsuty. Działalność ich można niestety porównać z działalnością pp. Styków i innych „malarzy salonowych," którzy swoim malarstwem utrudniają burżuazji dostęp do prawdziwej sztuki, tej, której zrozumienie wymaga wysiłku. Łatwa, literacka symbolika społeczna pp. plastyków warszawskich jest takim samym nieporozumieniem, tylko przeniesionym do innego środowiska. Robotnika, którego pojęcia o sztuce nie są jeszcze spaczone przez długotrwały, konsekwentny kontakt z literackim pseudo-malarstwem, należałoby jedynie najistotniejszymi, prawdziwie malarskimi bodźcami pobudzać do podjęcia wysiłku zrozumienia sztuki. Szkodliwość takiej wystawy nie ogranicza się do terenu sztuki; niektóre prace (p. Linkego) są również szkodliwe z punktu widzenia ideologii społecznej jako destrukcyjne przez nihilizm i negację wszelkich zdobyczy kultury. Poza tym twórca ich zdaje się nie wiedzieć o tym, że pornografia społeczna jest tak samo szkodliwa, lecz bardziej niebezpieczna (bo mniej „znajoma") jak ta... erotyczno-seksualna.

Zb. Kłon.

Nakładem „Sygnałów" ukazała się odbitka świetnego artykułu Maksymiliana Boruchowicza: „Brzozowski i Malraux.

STULECIE URODZIN ADAMA ASNYKA

Dnia 11 września 1938 r. przypada setna rocznica urodzin Adama Asnyka, największego polskiego poety-myśliciela, członka Rządu Narodowego z 1863 r. i założyciela tak chlubnie zapisanego w dziejach szkolnictwa polskiego Towarzystwa Szkoły Ludowej.

W związku z tym zawiązany przed dziesięcioma laty pod przewodnictwem znakomitego poety Leopolda Staffa, obecnie członka Polskiej Akademii Literatury, Komitet uczczenia Adama Asnyka, po upamiętnieniu 30-lecia śmierci (rok 1927) i 90-lecia urodzin Asnyka (rok 1928) dwiema tablicami w Tatrach i w Kaliszu i urządzeniem wystawy pamiątek po poecie w Warszawie, przystąpił znów do pracy i nakreślił już program przyszłorocznych obchodów jubileuszowych ku czci autora „Snu grobów", „Kiejstuta", „Z Tatr" i „Nad głębiami".

Program ten przewiduje między innymi: odsłonięcie pomnika w Kaliszu, który wzniesie rodzinne miasto poety swemu wielkiemu synowi, wmurowanie tablicy pamiątkowej na domu Nr. 24 przy ul. Widok w Warszawie, w którym Asnyk mieszkał i skąd go aresztowano, wydanie księgi zbiorowej, poświęconej twórczości i pracy społecznej tego wielkiego poety i obywatela, urządzenie ponownie wystawy pozostałych po nim pamiątek, zorganizowanie szeregu akademii, mających na celu zbliżenie Asnyka do dzisiejszego społeczeństwa i przypomnienie jego wielkiej na miarę europejską twórczości, wydanie zbiorowe jego pism i listów, do czego przystąpiła już jedna z firm, wydawniczych warszawskich itd. Projektowane jest również zwołanie do Warszawy Zjazdu literacko-naukowego.

Komitet uczczenia Adama Asnyka zwraca się do wszystkich, którzy posiadają jakiekolwiek rękopisy, listy lub pamiątki po Asnyku o nadsyłanie ich Komitetowi, a przynajmniej o komunikowanie mu o ich posiadaniu, gdyż to, co dotyczy wielkich w narodzie, jest własnością publiczną i nie powinno pozostawać w ukryciu, jako własność prywatna.

Kto z posiadaczy spuścizny rękopiśmiennej Asnyka nie chciałby pozbawiać się tak cennych pamiątek, wystarczy, jeżeli nadeśle Komitetowi dokładny jej odpis dla zużytkowania w zbiorowym wydaniu Pism i Listów Asnyka, które się ukaże w roku przyszłym.

Adres Komitetu: Warszawa, ul. Marszałkowska Nr. 117 m. 9, tel. 6-19-59.

WESOŁY WYRAZ

LECH PIWOWAR

KARYKATURY*)

PEIPER



Rysunek Z. Prowaszki

Ze ja i tu, że ja i tam,
że tylko ja, i że ja sam,
że nic, że nikt, że ja się tylko znam,
że wszystkie światy w wąsie mam.
Bim bam, bim bam!
Że prorokuje: tak a tak,
poezja owak, powieść siak,
że wszak, że wspak.
Ja byłem pierwszy, który mówił,
że co do wierszy ani Tuwim
ani Mickiewicz nie bez wod.
Ach, panie Leszku bez uśmieszków,
to ja mam 22 lat!

TUWIM

Poezja, proszę państwa, to choroba,
choroba umysłowa.
Szast prast, mój Boże, słowa krwawią, jak noże,
wiosna wagomać! i ty lilijnogwiezdna białogłowa.
Będą wrzeszczeć endecy, a niech żyją endecy,
im to sławy zawdzięczam połowę,
Rozdrażniam ich zawzięcie, bo mam w Rządzie plecy
a jeszcze gdzieindziej głowę.
Rwij się zwierzu natchnienia, nie będzie nam wyt-
[chnienia,
jak miłemu dzieciątku w czas biegunki.
Ja czyrny żydek z Łodzi, i Grydzewski dobrodziej,
i Wieniawa, i sława, i trunki!
A kiedy się rozrzewnię, będę skomlił wam rzewnie,
słowiłap wartogłowy.
Już jestem do niczego, kupię słownik Lindego
i raz wraz mam tom gotowy!
Aż bunt tryśnie mi gardłem, oczy zezem rozrzucę,
do domu pijany wrócę.
Wszystko nicość i gówno, i poezja zarówno.
A słopiewnie?
No pewnie!

SOLSKI

Hopla! Jeszcze jakieś 250 lat
i będzie całkiem młody.
Będą zdjęcia w Kurierku, jak lata samolotem
i jak skacze naraz po cztery schody.
A gry? ani z tego co go boli,
ani z tego, co ma w roli,
ani co autor pozwoli,
tylko to, co... przesoli.

POLEWKA

Wisz co, bracie, ja pokaże temu zgniłemu światu!
Pisze „Legendę proletariatu"
I żeby lepszą dać naukę
machne też dla teatru sztuke!
A my już wiemy, co z tego będzie:
legenda o „Legendzie"!

CZUCHNOWSKI

Jakie to dziwne: Marian milczy! Szanujcie tę ciszę,
bo, nim otworzy usta, poemat napisze.

FELIETONISTA

Głowa do wynajęcia!
Pióro do sprzedania!
Pisanie do niczego!
I megalomania.

DIENSTL - DĄBROWA

Tego „krytyka" to się poznaje odrazu:
to jest ten dziad, do którego obraz nie przemówił
[ani razu.

BIAŁA KSIĄŻECZKA

Jest wreszcie książka, oto ją macie!
O czytelniku, czekałeś na nią?
Śliczna książeczka, biała jak anioł!
„Drugie wydanie po konfiskacie".

---

*) Zamieszczamy kilka niedrukowanych dotąd fraszek z „Wieczoru karykatur" pp. L. Piwowara i Zb. Pronaszki. „Wieczór karykatur" jak wszystkie imprezy w „Kawiarni Plastyków" cieszył się wielkim powodzeniem i był powtarzany 13 razy.

Prenumerata miejscowa 2.50 zł., zamiejscowa 3.50 zł.

Redaktor odpowiedzialny: Józef Meizner. Naczelny redaktor i wydawca: Władysław Bodnicki. Redaguje młodzież akademicka.

Adres: Limanowskiego 31, I. p. Konto P. K. O. Nr. 415.385 — Drukarnia Literacka Kraków, Plac Zgody 4. Telefon 185-18.